

Erazm W. Felcyn

JAK SIĘ KIEDYŚ W KRONICE FOTOGRAFOWAŁO

Wspomnienia z lat 1964 - 1968

Skąd się wziąłem w Kronice Studenckiej

Mając lat siedem przeczytałem książki Włodzimierza Puchalskiego „W krainie łabędzia” i „Wyspa kormoranów” - od tego momentu datuje się moja nienasycona fascynacja fotografią. Kiedy 10 lat później znalazłem się na Politechnice Gdańskiej byłem już wstępnie przygotowany do podjęcia poważniejszych zadań, które tu na mnie czekały. Zacząłem chodzić na zajęcia z fotografii prowadzone przez wybitnego fotografa prof. Kazimierza Lelewicza w ramach Koła Studentów Architektury. Tam wypatrzył mnie Stefan Figlarowicz, ówczesny redaktor naczelny K.S. i zaprosił mnie do współpracy. Tak oto jesienią 1964 r. otworzył się nowy rozdział w moim życiu: urzeczony bez reszty niezwykłym klimatem, jaki panował w zespole redakcyjnym, utonąłem w sprawach Kroniki po uszy i na szereg lat.

Czym była wówczas Kronika Studencka

Ilustrowany Magazyn Studentów Politechniki Gdańskiej „Kronika Studencka” był agendą Uczelnianego Parlamentu Zrzeszenia Studentów Polskich Politechniki Gdańskiej. Nieoficjalnie zaś była K.S. barwnym zespołem, składającym się głównie z zafascynowanych fotografią i dziennikarstwem szaleńców, którzy robili to, co robili, dla samej radości czynienia tegoż. W tym szaleństwie była metoda: dojrzewaliśmy twórczo w klimacie stworzonym przez Tatarkiewicza, Suchodolskiego, Waldorffa czy Kotarbińskiego. Nie byliśmy w tym sami: podobna atmosfera dobrej roboty cechowała zespół Studenckiej Agencji Radiowej i ekipę związaną z Tygodnikiem Studenckim „Politechnik”.

Lokal K.S. był dla wielu z nas drugim domem, był klubem dyskusyjnym i czasami azylem, był miejscem, gdzie w przyspieszonym tempie chłonęło się wiedzę dziennikarską i zdobywało świadomość fotograficzną. W tamtych latach fakt bycia „kronikarzem” był powodem do dumy i wywarł znaczący wpływ na późniejsze dokonania wielu z nas.

Wydania K.S. wyglądały pozornie jak gazetka ścienna, jakich wówczas było wiele, tyle, że Kronika nigdy czymś zwyczajnym nie była.

Na obitej szarym płótnem planszy sporych rozmiarów przypinało się szpilkami zdjęcia i teksty. Były dwa wydania K.S.: oprócz edycji przeznaczonej do ekspozycji w holu Gmachu Głównego PG było też „wydanie miejskie”, które początkowo wieszaliśmy w witrynie księgarni na rogu ul. Grunwaldzkiej i ul. Miszewskiego, później w sklepie zegarmistrzowskim na przeciwległym rogu tych ulic, a w końcu na wystawie sklepu Foto-Optyki, który mieścił się w dole ul. Grunwaldzkiej we Wrzeszczu.

Pojawienie się każdego nowego numeru K.S. zawsze wzbudzało żywe zainteresowanie – zazwyczaj trudno było się dopchnąć do pozycji umożliwiającej lekturę i oglądanie. Aż dziwne, bo była przecież to tylko zwykła, skromna gablota... Cóż, różnica pomiędzy zwykłością i niezwykłością potrafi być bardzo subtelna.

Wydanie wewnętrzne było dla studentów i pracowników PG nie tylko źródłem informacji o tym co się na uczelni dzieje, pełniło ono również ważne funkcje interwencyjne i stanowiło nierzadko swoiste forum dyskusyjne.

Wydanie miejskie przeznaczone było głównie dla społeczności Trójmiasta, a jego zadaniem było kreowanie rzetelnej wiedzy o życiu studenckim i o działalności Politechniki. Było to dość ważne w sytuacji, gdzie ówczesne władze uczelni nie przywiązywały należytej wagi do *public relations*, a prasa raczej dbała o to, by postrzeganie środowiska akademickiego przez rzekomo rządzącą wówczas klasę robotniczą nie było zbyt pozytywne.

Warto też zauważyć, że kronikarze nie ograniczali się do obszarów bezpośrednio dotyczących studiowania i uczelni. Często pojawiały się relacje z trójmiejskich imprez kulturalnych i sportowych. Oczywiście mieliśmy wówczas szeroko otwarte, tylko nie o wszystkim wolno było opowiadać.

Jak funkcjonowała Redakcja

W momencie mojego pojawienia się w K.S. funkcję redaktora naczelnego pełnił Stefan Figlarowicz (kadencja 1963-1966.). To Jemu głównie Kronika zawdzięczała wspaniałe rozwój i wyjątkową klasę. Uczył nas wszystkich dobrej fotografii i dobrego dziennikarstwa – i była to znakomita szkoła. Do dziś dnia brzmią mi w uszach Jego powiedzenia: ”chi, chi, ale to jest fajne” albo „kochani, na zdjęciu musi się coś dziać, a tu nie ma nic...”.

W 1966 r. zostałem wybrany i wziąłem na swe barki obowiązki „naczelnego”. Należało do mnie reprezentowanie redakcji przed władzami uczelni i przed władzami ZSP, a także dbanie o to, by wszystko działało jak w dobrze naoliwionym mechanizmie. W praktyce była to organizacja kolejnych wydań Kroniki, prowadzenie zebrań całego zespołu, korekta tekstów, ocena i

omawianie setek zdjęć przynoszonych do redakcji, itd. Równolegle nadal działałem jako fotoreporter i pisałem teksty, bywało, że pełniłem funkcję Redaktora Odpowiedzialnego, do niektórych numerów sam robiłem grafikę.

W kwietniu 1967 r. w holu przed Aulą zaprezentowałem wystawę indywidualną „20 dni w Rumunii i Bułgarii”. Była ona plonem wyprawy zorganizowanej przez Sekcję Turystyczną AZS PG.

W czasie mojej kadencji jako szefa K.S. (1966-1968) wspierało mnie dwóch zastępców: Marian Nowak dbał o rozdział pracy pomiędzy fotoreporterów, a Zygmunt Durkiewicz odpowiadał za kwestie artystyczne. Był on też wykonawcą dwóch tomów wspaniałego wielkoformatowego albumu skonstruowanego na bazie archiwalnych materiałów KS.

Poszczególne wydania były realizowane przez doświadczonych kronikarzy namaszczonych na Redaktorów Odpowiedzialnych, którzy każdorazowo samodzielnie organizowali sobie mini-zespoły wykonawcze i decydowali o zawartości numeru.

Zespół fotoreporterów był dość liczny, a jego skład ulegał naturalnym fluktuacjom. Ze szczególną estymą wspominam tu takie nazwiska jak Bohdan Arendt, Władysław Bohdanowicz, Paweł Borkowski, Jan Dzierżanowski, Edward Grzegorz Funke, Leon Kurcinowski, Leszek Latos, Marian Nowak, Leszek Pękala, Andrzej Jan Prokofiew, Antoni Rojek, Janusz Szukalski, Krzysztof Rzewuski czy Andrzej Widuchowski.

O estetykę edycji K.S. dbali wówczas studenci Wydziału Architektury; na szczególną wdzięczność zasłużyły takie osoby jak Nina Smolarz, Czesław Tumielewicz, Bożena Waszak, Ula Madeja, Zygmunt Durkiewicz. Należy w tym miejscu wspomnieć też osobę Sławka Chilickiego, studenta Wydz. Chemicznego, który ubarwiał numery KS świetnymi, dowcipnymi rysunkami.

Redakcja Kroniki Studenckiej mieściła się wówczas w lokalu na parterze ówczesnego Domu Studenckiego nr 17 przy ul. Leczkowa. Znajdował się tam wielki stół, na którym makietowano kolejne wydania Kroniki, mieliśmy też własną maszynę do pisania. Wszystkie meble w lokalu redakcji wykonał własnoręcznie Leszek Latos, który okazał się świetnym stolarzem i poświęcił temu niemal wszystkie wolne chwile na przestrzeni roku.

Większość zdjęć, jakie trafiały na wspomniany stół, była robiona z własnej inicjatywy fotoreporterów. Obowiązywała zasada, że fotki są z tyłu opisane i podpisane – inaczej szybko stawały się materiałem bez wartości. Poddawane były one ostrej selekcji, odrzucaliśmy „bzdety”, uczyliśmy mniej zaawansowanych kadrowania i kompozycji ... Prawie każdego dnia w redakcji KS coś się działo!

Stworzenie dobrego numeru Kroniki wymagało znacznego nakładu pracy i było to zwykle dużo więcej, niż się to osobom postronnym wydawać mogło. By wykonać zdjęcia fotoreporterzy musieli uczestniczyć w wydarzeniach i imprezach, potem musieli jak najszybciej wywołać filmy, zrobić w ciemni odbitki, wysuszyć je i wyplamkować, a następnie dostarczyć je do redakcji. Ileż to razy Redaktorzy Odpowiedzialni numeru zaciskając zęby czekali do ostatniej chwili na obiecane materiały! A przecież do tego trzeba jeszcze było wystukać na maszynie porządny tekst, co nie było też zawsze proste, bo trzeba było weryfikować nazwiska, daty itd. No i sztuka pisania, tak jak i dzisiaj, nie była wcale czymś powszechnym. Samo makietowanie i przygotowanie numeru zajmowało co najmniej dwa popołudnia, które często się przeciągały do późnych godzin nocnych. Potem trzeba było jeszcze swoje dzieło dostarczyć na miejsce... i praca zaczynała się od nowa.

Staraliśmy się, by w ciągu miesiąca ukazywały się dwa numery wydania wewnętrznego i jedno wydanie miejskie. Było to potężne wyzwanie nawet dla zespołu liczącego w tamtych latach około 20 osób. W 1966 r. ukazało się 18 wydań „wewnętrznych” i 6 wydań „miejskich”; w 1967 r. było tych wydań odpowiednio 22 i 12.

Na początku 1967 r. ukazał się dwusetny numer K.S. – uczciliśmy ten fakt uroczystym spotkaniem ówczesnych i dawniejszych kronikarzy w „Kwadratowej”.

Pamiętać trzeba jednak, że przy tym wszystkim byliśmy zwyczajnymi studentami, bez taryfy ulgowej. Ileż to razy przychodziliśmy na zajęcia z czerwonymi od niewyspania oczami, a w brzuchach burczało z głodu... Nikt jednak nie narzekał, mieliśmy powody do dumy, było fajnie!!! Siła naszego entuzjazmu naprawdę pozwalała pokonywać wiele przeszkód!

Jak się wówczas w Kronice fotografowało

Początkowo fotoreporterzy K.S. byli zaopatrywani w wydrukowane na papierze firmowym ZSP dokumenty, które stwierdzały, że jego posiadacz jest upoważniony „do zbierania materiałów i wykonywania fotoreportaży dla celów informacji studenckiej”. W 1967 r. udało się nam wydrukować legitymacje prasowe, które miały sztywną czerwoną oprawę i pięknie wytłoczony na okładce złoty napis „PRASA”. Upoważnienia te i legitymacje otwierały nam wiele drzwi, a nierzadko pozwoliły też ujść cało z różnorodnych opresji.

Część z nas w tamtych latach nosiła na ramieniu wspianiałe, skórzane torby fotograficzne, które zostały zrobione specjalnie dla nas, na zamówienie. Były one dość drogie, a że płaciliśmy za

nie z własnych kieszeni, więc nie wszyscy mogli sobie na nie pozwolić. Jeśli jednak ktoś taką torbę nosił, to już z daleka wiadomo było, że się ma do czynienia z kronikarzem!

A prawdziwy kronikarz zawsze miał aparat przy sobie, o ile to tylko było możliwe. Dzięki temu powstało wiele cennych zdjęć. Fotografowało się tym, co kto miał: były Zorki, Fiedy, Smieny, Lubitiele, Starty... Królowały małoobrazkowe lustrzanki z pryzmatem pentagonalnym i wymienną optyką.

Najpopularniejsze były kiepsko wykonane, rwące filmy, radzieckie Zenity, ale miały one bardzo pożądane jasne obiektywy Helios 58/2 ; szczęśliwcy mieli do kompletu solidne , ale słabe optycznie Jupitery 135/3,5. Preferowane były zdecydowanie aparaty produkcji NRD (Practica, Practina), w których obiektywem standardowym był naprawdę dobry Tessar 50/2,8. W 1969 r. pojawił się na rynku Pancolar 50/1.8 , ale początkowo wcale nie był on łatwo dostępny. Do mojej Exy II B często przyczepiałem niewiele lepszy od Jupitera Telemegor 135/3.5, który jednak po przysłonięciu do 5,6 zupełnie przyzwoicie się zachowywał. Stefan Figlarowicz dysponował znakomitym Sonnarem 180/2.8 – taki obiektyw był przedmiotem marzeń niemal każdego z nas. Miał co nosić na ramieniu Leszek Latos: nie fotografował aparatem małoobrazkowym – używał Pentaconsixa 6x6 cm.

Nasze aparaty w zdecydowanej większości nie miały wewnętrznego pomiaru światła, co kompensowaliśmy używając światłomierzy selenowych (Swierdłowski, Weimarlux, Lunasix). Były one pozornie proste w obsłudze, lecz korzystanie z nich było prawdziwą sztuką. Dawały one wiarygodny pomiar jedynie pośrodku skali, w warunkach granicznych były jednak niemal bezużyteczne.

Większość zdjęć kronikarze wykonywali w dość ciemnych wnętrzach bez użycia lamp błyskowych, korzystając ze światła zastanego. Konieczne zatem było stosowanie wysokoczułych filmów: używaliśmy kinowej taśmy Ultrarapid lub filmów ORWO NP 27, o czułości 27 DIN / 400 ASA, co odpowiadało wartości 400 w powszechnie dziś stosowanej skali ISO. Z konieczności zdjęcia były świadomie niedoświetlane, nawet czterokrotnie, przy czym próbowaliśmy to kompensować forsownie wywołując negatywy.

Najczęściej stosowanym wywoływaczem był Rodinal (R09); był on dostępny w postaci łatwego w użyciu koncentratu, dawał obrazy bogate w półtony, ale o słabym kontraście. Wywoływacze wymagające rozpuszczania w wodzie, takie jak Atomal czy Final, były bardziej kłopotliwe w użyciu, ale czasami dawały lepsze rezultaty. Do płukania filmów przed wysuszeniem stosowaliśmy przegotowaną wodę z dodatkiem Filponu lub Fotonalu.

W ekstremalnych sytuacjach filmy płukaliśmy na koniec w denaturacie i suszyliśmy je suszarką do włosów. Pamiętam taką zespołową akcję podczas „Balu Dinozaurów” w Żaku w 1967 r.: filmy były dostarczane motocyklem do akademika (DS-10), gdzie gościnnie korzystaliśmy z ciemni, a po dwóch godzinach uczestnicy imprezy dostawali do rąk jeszcze ciepłe odbitki!

Robienie zdjęć przez większość ludzi postrzegane jest jako zajęcie łatwe i przyjemne, ot – po prostu pstrykanie. Praca fotoreportera wbrew pozorom wcale taka łatwa nie jest. Wymaga ona maksymalnej koncentracji i zdecydowanego, konsekwentnego działania. Musi on widzieć, co trzeba, i przewidywać, co trzeba, musi poruszać się sprawnie, ale nie może nikomu przeszkadzać – najlepiej, jak jest w ogóle niezauważalny.

Fotografowanie, zwłaszcza z użyciem obiektywów o dłuższej od standardu ogniskowej, wymaga – aby zdjęcia nie były poruszone – czasów naświetlania rzędu co najwyżej 1/100 sekundy. Okoliczności często wymuszały na nas korzystanie z czasów rzędu 1/8, 1/15 lub 1/30 sekundy. Zdjęcia robiło się wtedy na wstrzymanym oddechu, z wykorzystaniem wszelkich możliwych podpór, a naciskanie na spust nie mogło powodować drgnięcia aparatu. Po godzinie takiej „zabawy” człowiek był spocony na wylot, a po dwóch godzinach ledwo się stało na nogach.

Tak właśnie powstawały reportaże z posiedzeń uczelnianego parlamentu czy też rozmaitych akademii, które się odbywały w Auli. Nadmienić tu może warto, że wówczas, w oficjalnych sytuacjach, raczej obowiązkowym strojem fotoreportera była marynarka z białą koszulą *non iron* i krawatem.

Zdjęcia publikowane w K.S. miały zwykle format 13x18 cm; najciekawsze fotki często odbijaliśmy na papierze 18x24 cm. Na tak niewielkich powiększeniach małe poruszenia nie były widoczne. Gorzej się sprawa przedstawiała, gdy się chciało zdjęcie powiększyć do formatu wystawowego, minimum 30x40 cm. Wtedy wszystkie wady wychodziły jak na dłoni. Prawdziwą dla nas zmorą był wszechobecny kurz: osiadał on na suszących się filmach, wślizgiwał się między szybki powiększalnika. Stosowaliśmy różne przemyślane sposoby, aby uniknąć śladów jego obecności, ale w znaczącej ilości przypadków niezbędne było żmudne plamkowanie odbitek. Do plamkowania używaliśmy pędzelków nr 0, a „czernidłem” zazwyczaj była zaschnięta czarna tempera lub tusz – rozcieńczalnikiem była na ogół nasza własna ślina. Metoda ta się sprawdziła – nawet po 50 latach tak wykonany retusz wygląda bez zarzutu.

O naszych wystawach

W latach, które wspominam, miały miejsce dwa wielkie „kronikarskie” przedsięwzięcia wystawiennicze. Pierwsze z nich to wystawa z okazji XX-lecia ZSP, zorganizowana w maju 1965 r. jako impreza towarzysząca uroczystej sesji Uczelnianego Parlamentu.

Na wystawie tej znalazły się m. in. unikalne zdjęcia ukazujące pierwsze powojenne lata na naszej uczelni.

W 1967 roku zorganizowaliśmy przed Aulą obszerną ekspozycję z okazji X-lecia Uczelnianego Parlamentu ZSP. Jej scenariusz opracowali Stanisław Kmiecik i Stefan Figlarowicz (byli „naczelnymi” K.S.). Wystawę montowała ekipa „Kroniki”. Mieliśmy co wieszać: samych zdjęć było 180 (!), do tego dochodziły plakaty i opisy. Pamiętam doskonale noc przed wernisażem – pospałem sobie prawie trzy godziny schowany za jakąś planszą, wprost na parkiecie, z kawałkiem brystolu pod głową.

Materiał zgromadzony na tych wystawach – gdyby się dochował – byłby dziś wprost bezcenny.

Nasza działalność wystawiennicza nie ograniczała się do obszarów bezpośrednio związanych z ZSP i Politechniką. W oparciu o zespół „Kroniki Studenckiej” w 1965 roku powstała Gdańsko-Bydgoska Grupa Fotograficzna „HOMO”, która swój program określała jako „tworzenie artystycznej kroniki naszych czasów”. Wystawa programowa Grupy „HOMO” miała miejsce w lutym 1966 r. w Klubie M. P. i K. w Bydgoszczy, później - w kwietniu 1966 r. - w Filharmonii Bydgoskiej pokazaliśmy prace o tematyce muzycznej. W maju 1966 r. zrobiliśmy na budowie przy ul. Wejhera w Gdańsku, w stołówce robotniczej, wystawę „Na Budowie”, a krótko potem, w Klubie Pracowników PG, prezentowaliśmy ekspozycję zatytułowaną „Ludzie Nauki”. W skład Grupy „HOMO” wchodził: Janusz Długoński, Adam Kołodziej, Erazm W. Felcyn, Edward G. Funke, Stefan Figlarowicz, Włodzimierz Martin, Jeży Narożny, Antoni Rojek, Nina Smolarz i Andrzej Widuchowski.

Pod auspicjami Grupy „HOMO” pokazywaliśmy też wystawy indywidualne w klubach studenckich, głównie w „Artemie”. Liderem był tu Grzesiek Funke z pięcioma wystawami na koncie – wyróżniała się wśród nich „Wizyta Prezydenta”, której bohaterem był. gen. Charles de Gaulle.

Coraz częściej nasze prace były pokazywane na ogólnopolskich i międzynarodowych wystawach, posypały się wyróżnienia i medale. Nazwa „Kroniki Studenckiej” zaczęła w środowiskach fotograficznych coś znaczyć.

Tradycje Grupy „HOMO” próbowaliśmy reaktywować tworząc Grupę Fotograficzną „ŻAK”, która - w składzie Marek Gracz, Jerzy Hajdul, Marian Nowak, Leszek Pękala, Andrzej Prokofiew i Erazm W. Felcyn – stworzyła tylko jedną, ale za to bardzo interesującą wystawę (Klub Studentów Wybrzeża „Żak”, maj 1971 r.).

Uprawianie fotografii artystycznej to kosztowne hobby. Kronikarze-fotograficy sami, z środków prywatnych, finansowali swoją działalność wystawienniczą; było to okupione wieloma wyrzeczeniami, ale przynajmniej byliśmy na tym polu niezależni.

Trochę wspomnień o marcu 1968 r.

Wróćmy jednak do Kroniki Studenckiej. W marcu 1968 r. z Marianem Nowakiem zrobiliśmy numer, który w ogóle nie zawierał zdjęć. Składał się on niemal wyłącznie z wycinków prasowych, które – skumulowane na ciasnej przestrzeni – dawały szokujący dowód bezczelnego zakłamania ówczesnej władzy. Wycinki te stanowiły otoczenie dla tekstu redakcyjnego, który napisałem w oparciu o materiał zebrany przez Mariana: przedstawiał on dość szczegółowo okoliczności zatrzymania i pobicia w trakcie przesłuchań przez milicję jednego ze studentów PG. Powiesiliśmy to wydanie rano, przed godzina siódmą. Po około dwu godzinach cała gabłota Kroniki znalazła się w lokalu KU PZPR. Wówczas budziło to nasze oburzenie – później doszedłem do przekonania, że ówczesny sekretarz Komitetu Uczelnianego doc. Józef Burzyński oszczędził nam wielu poważnych kłopotów. W wyniku całej tej akcji w kilka dni później zostałem zawieszony w czynnościach Redaktora Naczelnego Kroniki Studenckiej. Na tym jednak historia tego numeru K.S. się nie zakończyła.

Towarzysz Stanisław Kociołek, ówczesny I Sekretarz KW PZPR w Gdańsku w swoim przemówieniu na zebraniu związkowców Wybrzeża zaliczył Kronikę Studencką do "wrogich ośrodków propagandowych". Za „Dziennikiem Bałtyckim” z dnia 22 marca 1968 r. cytuję fragment jego dalszej wypowiedzi: "A jaki był sens wywieszenia na Politechnice Gdańskiej rzekomego „wyznania przesłuchiwanego”, jakoby pobitego przez milicję? Oczywiście była to jaskrawa prowokacja, bo prowokacja była i jest metodą działania wrogów naszego ustroju i państwa”.

Lokal K.S. stał się obiektem obserwacji bezpieczeństwa. Po uzyskaniu tej informacji wspólnie z Marianem Nowakiem wyczyściliśmy redakcję z wszystkich trefnych materiałów, a drzwi wejściowe zaplombowaliśmy. Kronikarzy zaś prosiłem o wstrzymanie się od wszelkich działań dziennikarskich i od robienia zdjęć, bo ciężko pobitych było już dość. Od szpicli aż się roilo: Krzysiek Rzewuski robił zdjęcia ze strychu Gmachu Głównego i wydawało mu się, że jest dobrze schowany, a jednak następnego dnia nad ranem odwiedzili go w domu „smutni panowie” i wszystkie filmy mu skonfiskowali. *Nota bene* Marian Nowak, który po mnie objął funkcję redaktora naczelnego K.S., był przez milicję wielokrotnie przesłuchiwany, ale że o niczym nie wiedział (!), to w końcu dano mu spokój.

Kronikarze po marcu 1968

Po marcu 1968 r. środowisko studenckie długo wracało do równowagi. Część byłych fotoreporterów KS skupiła się na działalności artystycznej i wystawienniczej, głównie w ramach Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego (GTF). W 1970 r. Stefan Figlarowicz został przyjęty w poczet członków Związku Polskich Artystów Fotografików. Ja sam, za namową Marka Gracza (też „kronikarza”) złożyłem aplikację i zostałem przyjęty do Sekcji Wystawienniczej GTF. Za sprawą tej elitarniej grupy, prowadzonej przez Krzysztofa Kamińskiego i Mirka Kubackiego, Gdańskie Towarzystwo Fotograficzne zdobyło tytuł najlepszego towarzystwa fotograficznego na świecie (Sao Paulo, Brazylia, 1973 r.). W nagrodzonym zestawie były m. in. dwie moje prace i jedna praca Marka Gracza.

A Kronika – cóż, Kronika wychodziła nadal. Po krótkim okresie pomarcowej zapaści pałeczkę przejęła nowa ekipa, redaktorem naczelnym został Marian Nowak. Pojawiły się nowe, bardzo uzdolnione osoby – z nich najlepiej pamiętam Pawła Borkowskiego, który w 1977 r. również został przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików. Świetne fotoreportaże robili też Jacek Kamiński i Marek Gronowski, a wśród „graficznych” wyróżniała się Daria Jezierska. Ale to już dalsza historia...

W czterdziestą rocznicę wydarzeń marcowych, w 2008 r., powstała niezwykła wystawa o tytule „U Maryny Bal 1968” – była ona eksponowana w Gdańskiej Galerii Fotografii (filia Muzeum Narodowego). Nie skupiała się ona na wypadkach marcowych, odnosiła się raczej do ówczesnej polskiej rzeczywistości. Autorami zdjęć byli Nina Smolarz, Stefan Figlarowicz i niżej podpisany, a teksty dostarczyło szersze grono osób. Wystawa ta została sfinansowana z środków prywatnych (sponsorem była firma CREON) i nie trafiła później do zbiorów Biblioteki Głównej PG, gdzie powinna się znaleźć ze względu na swą historyczną zawartość. Cóż, może jeszcze nie jest za późno...

Refleksja na zakończenie

Kronika Studencka jest najdłużej na świecie działającą studencką agencją fotograficzną. Przez ponad pół wieku przewinęły się przez nią setki fotoreporterów, którzy wykonali wiele tysięcy zdjęć dokumentujących życie Politechniki Gdańskiej. W interesie uczelni leży to, aby ten dorobek był należycie zagospodarowany. Nie można tego odkładać na później.

Kronikarzy z dawnych lat ubywa – z mojego zespołu odeszli na zawsze Marian Nowak, Andrzej Prokofiew, Bohdan Arendt, Leszek Latos... Ich fotograficzne zbiory wraz z nimi przeszły do niebytu.

Waldorff często podkreślał, że siła narodu i jego zdolność do przetrwania zależą od jego kultury. Sądzę, że ten pogląd – mimo upływu czasu – nadal wart jest głębszej refleksji.

Erazm Wojciech Felcyn

(Gdańsk, 2011)